

Syberia nie okazuje cienia przyjaźni tym, którzy mają odwagę stawić jej czoło. Niebezpieczeństwa czyhają tutaj z każdej strony i największym z nich są oczywiście odmrożenia. Czy wystarczy naszego instynktu i doświadczenia, aby wyżyć na łonie tej niegościnniej dla człowieka przyrody, gdzieś daleko na granicy świata?

Na biegunie zimna

Celem wyprawy, na organizację której poświęciłem ponad rok, jest dotarcie do Ojmiakonu, uznawanego za biegun zimna, ponieważ panują tam najniższe temperatury, w jakich na stałe żyją ludzie. W latach trzydziestych zanotowano tam -71 stopni C. Mamy do pokonania 1300 kilometrów tajgi i tundry, dziewiczej ziemi, gdzie łatwiej jest spotkać wilka i niedźwiedzia niż istotę ludzką. Wokół nas tylko śniegi i bezkresny horyzont, gdzie wzrok nie znajduje żadnego punktu. Jesteśmy odizolowani od wszystkiego i wszystkich i zdajemy doskonale sprawę, że nasz los zależy tylko od nas samych.

Te rozległe zauralskie obszary zawsze podniecały moją wyobraźnię. Jednak granice Imperium rosyjskiego były dla mnie zamknięte i po raz pierwszy zetknąłem się z tym krajem dopiero w 1987. W dwa lata później realizuję marzenie mojego życia. Jeszcze nie tak dawno w krainie więzienia bez krat jechało się z biletem w jedną stronę, dziś na szczęście podróżuje się na innych zasadach.

Liczmy, że odległość, która dzieli Jakuck od Ojmiakonu, pokonamy w pięć tygodni. Kilka dni temu opuściliśmy osadę Topolinnoje i już do samej mety, to jest przez przynajmniej 600 kilometrów, nie napotkamy po drodze żadnego siedliska ludzkiego.

Każdego dnia pokonujemy średnio około pięćdziesiąt kilometrów i dobrze, jeśli można jechać zamrażającym korytem rzeki, unika się wtedy nieustannych wstrząsów po nierównym zlodowaciałym terenie. Nasze sanie ciągną renifery, które ślizgają się na rozłożonych nogach, próbując zachować równowagę, znaleźć jakieś oparcie, by móc biec.

Pomimo odpowiedniej odzieży, takiej samej, jakiej używa ludność turycka, tzn. ze skóry renifera, już po kilku godzinach drogi pojawiają się pierwsze oznaki chłodu, później zimna. Na szczęście, w tym rejonie Syberii powietrze jest bardzo suche i dlatego znacznie łatwiej człowiek znosi te temperatury. Ponadto pogoda jest zwykle bezwietrzna, ale z pojawieniem się pierwszego podmuchu tysiące igieł klują każdy odkryty centymetr kwadratowy skóry. Przy temperaturze -50 stopni i wietrze średnio silnym, szedł 12 metrów na sekundę, uczucie zimna na odkrytym ciele odpowiada nieproporcjonalnie niskiej temperaturze -90 stopni.

Jak zwykle, zatrzymujemy się około godziny 18., kiedy ostatnie promienie bladego i słabego słońca chowają się za wzgórzem. Przygotowanie obozowiska zajmuje codziennie dwie godziny i wymaga od nas, mocno już strudzonych całonocną drogą, dużo wysiłku i samozaparcia.

Gdy wreszcie z kominą wydostaje się smuga iskerek i ostry zapach dymu, optymizm wypełnia nasze serca. Ogień w takich sytuacjach oznacza ciepło, gotowany posiłek, wypoczynek. Łatwo jednak się wtedy rozluźnić, a tu jeszcze sporo czynności do zrobienia.

Dwojka ochotników tnie piłą zamrożone mięso renifera, potem nacina pajdy skamieniałego chleba. Ja ścinam, ostrym jak brzytwa nożem, cienkie plasterki nemi, olbrzymiej trzynastokilogramowej ryby i doprawiam je solą i pieprzem. Surowa „stroganina”, jedno z podstawowych dań syberyjskich, jest naszą codzienną zakąską.

Po solidnej kolacji układamy się do snu. Na miękkich gałkach leżą już duże skóry renifera i na nich rozkładamy nasze futrzane spiwory. Przebijamy się jeszcze w drugą odzież i po krótkim czasie, spokojny, długi oddech świadczy o tym, że moi przyjaciele zapadli już w głęboki sen.

Kiedy rano otwieram oczy, jest już siódma godzina, a wydaje mi się, że przed chwilą zasnąłem. Niewiarygodnie! Termometr wiszący nade mną wskazuje -36 stopni, tylko dziesięć stopni mniej niż na zewnątrz, a ściany i dach namiotu pokryte są warstwą lodu. Roberto, na którego wypadła dzisiaj dyżur, krzyczy przy piecyku. Jego pierwszym zadaniem jest ogrzać pomieszczenie i przygotować herbatę, dużo gorącej herbaty. Dopiero wtedy ogłaszam pobudkę generalną.

Po lekkim śniadaniu składającym się z rozgrzanego chleba, masła i herbaty, zabieramy się do zwinienia obozu. Wszyscy uczestniczymy w łapaniu reniferów, które należy zbicić w jedno stado i wszystkie po kolei łapać na laso, by potem zaprząć w sanie. Przed wyjazdem konsumujemy po wielkim kawałku gotowanego mięsa, zaplając go dużym kubkiem parzącej herbaty.

Wypoczęte renifery ruszają żywym biegiem.

Dzień mija za dniem, często jeden jest podobny do drugiego i tylko drobne przygody urozmaicają monotonię naszego surowego życia. W czasie zjazdu z niezbyt wysokiej góry sanie Graziano wywracają się i nieszczęśliwie wpada prosto pod kopyta biegnących za nim reniferów. Jestem przerażony, bo wszystko to dzieje się na moich oczach. Z trudem zatrzymujemy konwoj i biegiem wracamy do miejsca wypadku. Z daleka widać Graziano podnoszącego się ze śniegu. Miał chłopak dużo szczęścia. Instruktor sztuki walki Dalekiego Wschodu zdążył zwinąć się w kłębek i nie poniósł żadnego szwanku, przepuszczając po sobie pięć czy sześć zaprzęgów. Wieczorem będzie musiał tylko zszywać szubę porwaną przez racie zwierząt.

„Markan”, wspaniały okaz, chyba najsilniejszy renifer w stadzie, najmniej udomowiony, z którym mieliśmy zawsze sporo kłopotów, bo zwykle nie chciał podporządkować się w konwoju, padał nieoczekiwanie i zdycha na naszych oczach. Bezsilnie przyglądamy się tej dramatycznej scenie.

Okazuje się, że renifery nie potrafią oszczędzać sił, są w stanie bez oddechu, całymi godzinami ciągnąć sanie o ładunku nawet większym niż 100 kilogramów, ryzykując śmiercią z wycieńczenia fizycznego. W następnych dwóch dniach porzucimy w tundrze dwa zwierzęta, bo nie będą w stanie nawet utrzymać się na nogach.

Około południa docieramy do przełęczy na wysokości 1500 metrów nad poziomem morza. Przed nami, nieco w dół, w czystym jak kryształ powietrzu, rozciąga się wspaniała majestatyczna dolina. Nad surową krainą dominuje przylatująca wprost cisza, która ma coś bezlitosnego i mieludskiego. Z zapartym tchem przeżywamy chwilę głębokich emocji.

W kilka godzin później łapię się niespodziewanie na tym, że nie czuję zupełnie moich rąk. Zębami ściągamy grube rękawice, potem drugą parę wełnianych i gole ręce wiskam pod odzież, między udami. Po pół godzinie czuję, jakby ktoś klął mnie do kucukliwie w opuszkach palców. Przeszywają, dotykają, nie do wytrzymania ból. Istna meczarnia, jakiej jeszcze chyba nigdy w życiu nie zaznałem. Najchętniej wyciągnąłbym ręce z tego ciepła, aby nie cierpieć już dłużej, ale zdrowy rozsądek bierze górę. Wiem dobrze, że ból jest oznaką powracającego życia, za wszelką cenę muszę więc wytrzymać.

Bladozłote słońce, które wisi nisko nad białą bezkresną tundrą, nie daje żadnego ciepła. Pod cienką pokrywą śniegu schowana jest, głęboka na setki metrów, warstwa wiecznej zmarzliny, hojnie obdarowanej przez naturę we wszelkie bogactwa. Surowy klimat i trudna dostępność wciąż jeszcze są w stanie chronić ogromne zasoby naturalne. Tam, gdzie na Syberii człowiek dobrał się już do nich, z reguły doprowadził do ekologicznej katastrofy. Jakucja, jak do tej pory, uchroniła się przed inwazją przemysłową, zachowując nie naruszony kapitał przyrody.

Organizacja operacji „Bieg zimna” nie należała do łatwych i kosztowała wiele czasu, energii i oczywiście wydatków. Po wylczeniu wszystkich kosztów okazało się, że potrzeba na nią 33 tysięcy dolarów. Kiedyś eksploratorzy byli wspomagani przez rządy, towarzystwa geograficzne i różnego rodzaju mecenasów. Dziś funkcje taką objeli sponsorzy, którzy widzą w tym reklamę swojej firmy czy też jakiegoś produktu. Znalazienie sponsora nie jest rzeczą łatwą, trzeba mieć wiele silnych atutów w reku, aby móc zaproponować swój plan i przekonać o wiarygodności i autorytatywności swojej imprezy. Często wszystko to ogranicza się po prostu do zaufania.

Nasza podróż ma się już ku końcowi. Zjeżdżając w wąską dolinę natrafiliśmy na drogę przetartą pojazdami mechanicznymi. W powietrzu unosi się intensywny zapach benzyny i smarów olejowych, znak, że wracamy do świata cywilizacji. Późnym wieczorem wjeżdżamy do Ojmiakonu i pod pomnikiem „Polius Cholo-da” świętujemy zakończenie wielkiej przygody. Wszystkich nas ogarnia uczucie radości, u niektórych pojawiają się łzy w oczach, wynik nagromadzonego długimi dniami napięcia psychicznego.

TEKST I ZDJĘCIA JACEK PAKIEWICZ
Fragment książki „No Limits” przygotowanej do druku przez Wyd. Bellona.



Po opuszczeniu osady Topolinnoje aż do samej mety, to jest przez przynajmniej 600 kilometrów, nie napotkamy po drodze żadnego siedliska ludzkiego.



Późnym wieczorem wjeżdżamy do Ojmiakonu i pod pomnikiem „Polius Cholo-da” świętujemy zakończenie wielkiej przygody.



Cienkie plasterki nemi, olbrzymiej trzynastokilogramowej ryby doprawiam solą i pieprzem. Surowa „stroganina”, to jedno z podstawowych dań syberyjskich. Jest naszą codzienną zakąską.



Czasami łapiemy się na tym, że nie czujemy zupełnie swoich rąk. Zębami ściągamy grube rękawice, potem drugą parę wełnianych i gole ręce ogrzewamy nad ogniskiem. Potwornie zimno!